

po pijanemu”, powiedział, a choć nie mówił tego wprost, i tak zrozumiałem od razu, co miał na myśli.

Przy stole omawiano tematy dotyczące kongregacji, a czasem rozstrzygały się sprawy ważne. Zdarzało się też, że ojciec i Niemiec rozmawiali o rzeczach najważniejszych. Kiedy na przykład wojska III Rzeszy osiągały szczytowe sukcesy założyli się, jakie będą ostateczne wyniki wojny. Kuge twierdził, że Niemcy nie tylko wygrają wojnę, ale że zakończy się ona pod koniec 1940 roku. Ojciec, mądry i ostrożny, wolał nie mówić, że wierzy raczej w to, iż Niemcy przegrają. Zamiast tego powiedział, że jego zdaniem wojna potrwa dłużej niż do końca roku. Potem opowiedział nam, że w miarę zbliżania się końca roku, gdy kresu wojny nie było widać, miał nadzieję, że Kuge zapomni o zakładzie. Obawiał się, że w przeciwnym razie zemści się na Żydzie, choć Niemcy wciąż jeszcze odnosili sukcesy i zdawało się, że nic ich nie powstrzyma.

Swoimi prawdziwymi myślami Niemiec nie dzielił się wprawdzie z ojcem, ale o zakładzie nie zapomniał. Wracając z urlopu bożonarodzeniowego w Niemczech, przywiózł ojcu – zgodnie z warunkami zakładu – najnowszego typu aparat fotograficzny Zeiss. Należy zaznaczyć, że on dostał złoty sygnet z wygrawerowanymi swoimi inicjałami, który miał otrzymać, gdyby ojciec przegrał zakład.

Ojciec podarował mi aparat fotograficzny jako ekwiwalent za kolekcję znaczków, ale nigdy nie zrobiłem z niego użytku. Nie można było nigdzie dostać filmów do aparatu, zresztą widok Żyda z aparatem fotograficznym w ręku też był wtedy nie do pomyślenia.

OFIARY DYNOWA

Jak się rzekło, okres, kiedy Kuge był w miasteczku, należał do spokojnych. Szczytowym jego momentem było pochowanie dwustu ofiar Dynowa, miasteczka położonego 40 km od Sanoka, zamordowanych na początku wojny.

Na początku maja 1940 roku, gdy ziemia odtajała w wiosennym słońcu, ojciec zwrócił się do komendatury Gestapo w miasteczku, prosząc Kuge o pozwolenie na ekshumację pomordowanych z bratniej mogiły i pochowanie ich w osobnych grobach. Prośba była uzasadniona w ten sposób, że zwłoki pogrzebane w płytkich dołach stanowią zagrożenie sanitarne, a miejscowa ludność zaczęła tam grzebać w poszukiwaniu kosztowności. Kuge zrozumiał natychmiast znaczenie całej sprawy i wydał zezwolenie, zaznaczając jednak, że musi dostać na to zgodę przełożonych, to znaczy komendatury Gestapo w Krakowie. Zezwolenie takie nadeszło niebawem, z uwarunkowaniem, że pochówek ma zostać przeprowadzony dyskretnie.

Judenrat przygotował się do pogrzebów niczym do akcji wojskowej. Zgromadzono robotników, przygotowano narzędzia, wykopano groby i załatwiono pomoc finansową od JOINTU w Krakowie w wysokości 12 tysięcy złotych.

Pomimo nakazanych komitetowi środków ostrożności, wieści rozeszły się szeroko i do Dynowa zaczęły napływać Żydzi z całej Generalnej Guberni w poszukiwaniu śladów po swoich krewnych zaginionych od wybuchu wojny. Na miejscu dochodziło do rozdzierających scen, gdy ludzie odkrywali swoich bliskich wśród zamordowanych. Inni znów dowiadywali się o tym za pośrednictwem specjalnych posłańców. Spośród 200 zamordowanych udało się zidentyfikować 170, a pozostałe ofiary pochowano bez zaznaczenia ich tożsamości.

Zebrano jednak skrzętnie do toreb z brązowego papieru szczątki ubrań, strzępy dokumentów etc. – wszystko, co mogło pomóc później w identyfikacji anonimowych ofiar. Wszystkie torby za-

brane zostały na przechowanie do biura komitetu kongregacji w Sanoku. Pamiętam do dziś potworny fetor, unoszący się stamtąd przez kilka długich tygodni.

Wiadomości o tym, że ofiary Dynowa pochowane zostały zgodnie z tradycją judaistyczną, rozeszły się szeroko wśród Żydów w Generalnej Guberni, a liczne pochwały posypały się pod adresem Judenratu.

ZAPOMNIANY ADRES

Na początku 1941 roku Kuge opuścił miasteczko – został odkomenderowany na inne miejsce. Przed wyjazdem odwiedził biura komitetu kongregacji ze swoim następcą, żeby przedstawić mu członków Judenratu i pożegnać się. Ojcu zostawił swój prywatny adres w Niemczech na wypadek, gdyby rodzina potrzebowała pomocy, ale oczywiście nigdy nie skorzystaliśmy z tej możliwości. Żaden Żyd nie ośmieliłby się nigdy wysłać listu do Niemiec w obawie przed cenzurą, zresztą Żydzi i tak nie mogli podróżować bez specjalnego zezwolenia.

Mimo to, ten mały skrawek papieru dawał nam poczucie bezpieczeństwa. Ukryty został w obecności całej rodziny w sypialni rodziców, w szczelinie za framugą drzwi i nikt więcej się nim nie zajmował.

Kilka miesięcy później zostaliśmy wykwaterowani z domu²², w którym mieszkaliśmy, i wszystkim lokatorom dano trzy dni na przeprowadzkę. Niemcy usuwali Żydów z części miasteczka, tworząc coś w rodzaju otwartego getta. Kiedy przyszły nakazy wykwaterowania, lokatorzy zaczęli gorączkowo szukać zastępczych mieszkań. To, które znaleźliśmy było znacznie mniejsze od dawnego i ku mojemu żalowi musieliśmy pozostawić wiele mebli na starym miejscu. W ogólnym zamieszaniu zapomnieliśmy zabrać kartkę z adresem Kuge, która pozostała w szczelinie za drzwiami.

Dwa tygodnie po przeprowadzce ojciec przypomniał sobie nagle o stracie, a ja, starszy syn, zostałem wysłany, żeby odzyskać kartkę. Ojciec wiedział, że Niemcy nie zajęli jeszcze mieszkania, gdyż żydowscy rzemieślnicy, wysłani przez komitet kongregacji, nie skończyli tam remontu.

Udałem się do mieszkania z lekką obawą. Co powiem, jeśli spotkam Niemca, który spyta, czego tam szukam? Na szczęście żadnych Niemców nie spotkałem. Zgodnie z przewidywaniami ojca, zastałem jedynie dwóch malarzy w poplamionych farbą ubraniach, którzy kończyli już swoją robotę. Mieszkanie było świeżo odmalowane i wyremontowane, jak nigdy przedtem, a szczeliny wokół framug zniknęły pod warstwami farby. Nie było też śladu po pozostawionych przez nas meblach. Nie pytałem, co się z nimi stało, może wzięli je malarze albo Niemcy.

Wy tłumaczyłem malarzom, co mnie sprowadza i pokazałem framugę, za którą schowana była kartka. Rzecz jasna, nie powiedziałem, że wypisany był na niej adres. Malarze przyjęli to z jawnym niedowierzaniem, a jeden z nich powiedział kąpiąco: – Przyznaj lepiej, chłopcze, że ukryłeś się za framugą banknot studolarowy. – W tamtych czasach studolarówka była sumą nie do wyobrażenia, a z tego, co wiem, moja rodzina nie miała nawet jednego dolara.

Nie zdały się na nic moje zaprzeczenia i błagania, robotnicy nie zgodzili się za nic na szperanie w zamalowanych szczelinach, twierdząc, że Niemcy mogą przybyć w każdej chwili i popędzali mnie, żebym wyniósł się stamtąd jak najszybciej.

Ze łzami bezsilności duszącymi w gardle opuściłem mieszkanie. Miałem nadzieję, że jak opowiem ojcu o bezdusznym zachowaniu naszych współbraci, może jemu uda się jakoś na nich wpłynąć.

²² Rodzina Wernerów mieszkała w kamienicy zwanej Weinerówką, przy ul. 3 Maja.

Oni zresztą chyba naprawdę uwierzyli, że za drzwiami ukryty jest skarb. Zanim jeszcze zdążyłem się oddalić, jeden z nich wystawił głowę przez okno, machając do mnie upragnioną kartką. – Jeśli chcesz ją dostać, to przynieś dwie paczki papierosów – wykrzyknął.

Kilka minut później przyleciałem zdyszany z powrotem do mieszkania i dostałem kartkę w zamian za dwie paczki papierosów. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że obie strony framugi drzwi od dawnej sypialni moich rodziców odrapane są całkowicie z farby, jak gdyby spodziewane nadejście Niemców nie zakłócało w ogóle spokoju malarzom.

ROK PRZEJŚCIOWY

Rok 1941 nie zwiastował niczego dobrego Żydom w miasteczku. Już w poprzednim roku, gdy zaczęto racjonować żywność, porcje wydzielane Żydom były o połowę mniejsze od wyznaczanych Polakom. Teraz comiesięczne przydziały żywności dla Żydów zmniejszono jeszcze bardziej: dwa kilogramy mąki żytniej i 200 gramów cukru na głowę. Czarny rynek przeżywał rozkwit, a ci, którzy mieli pieniądze, żyli nienajgorzej. Innym jednak doskwierał głód. Społeczna kuchnia utworzona przez komitet kongregacji przy częściowej pomocy JOINTU nie była w stanie nastarczyć potrzebom²³.

Jeszcze latem 1940 roku Niemcy zaczęli tworzyć getta i obozy pracy na terenie okupowanej Polski. Do Sanoka docierały wiadomości o straszliwych warunkach tam panujących; o tym, że Niemcy upychali w gettach nie tylko miejscowych Żydów, lecz także tych z pobliskich miejscowości. Było oczywiste, że jeśli nie stanie się cud, podobny los spotka też Żydów w naszym miasteczku.

Zaczęły też dochodzić słuchy o obozach koncentracyjnych, z których nikt nie wracał żywy. Z czasem, gdy Niemcy napadli na Związek Sowiecki, nadeszły informacje o specjalnych jednostkach SS, złożonych z Ukraińców, Litwinów i Łotyszy, które mordowały całe społeczności żydowskie na okupowanych terenach.

Jesienią 1940 roku Judenrat naszego miasteczka zaproponował, aby utworzyć obóz pracy, w którym zatrudnieni zostaliby różnego rodzaju rzemieślnicy – stolarze, ślusarze, krawcy i inni – których Niemcy mogliby wykorzystać dla swoich celów. Wybór padł na małą wioskę Zasław, leżącą około 10 kilometrów od Sanoka. Stały tam trzy opuszczone, trzypiętrowe budynki, w których miała się mieścić przed wojną papiernia. Podobnie jak wszystkie fabryki w owych czasach, także i te budynki wzniesiono w pobliżu linii kolejowej, aby ułatwić transport towarów. Fakt ten ułatwił potem Niemcom zadanie, gdy przystąpili do deportacji.

Za zgodą komendantury Gestapo Judenrat odremontował budynki i stworzył tam warsztaty, w których zatrudnionych zostało 2000 rzemieślników z miasteczka i okolic. Projekt zatwierdzony został na najwyższym szczeblu w Krakowie, gdzie mieściła się stolica Generalnej Guberni. Stworzenie tego kompleksu produkcyjnego uważane było za duże osiągnięcie.

O czwartej nad ranem 22 czerwca 1941 roku Niemcy napadły na Związek Sowiecki, z którym były dotąd sprzymierzeni, zadając jego wojskom dotkliwą klęskę. Świat oniemiał ze zdumienia, widząc rozpad sowieckiego tygrysa z papieru, którego armie poddały się niemal bez walki i poszły do niewoli. Dla nas jeszcze gorsze było to, że granica, która dotąd przebiegała u stóp

²³ Por.: List sanockiego Judenratu do American Joint Distribution Committee w Warszawie z dnia 5 marca 1940 r. Zbiory American Jewish Joint Distribution Committee: Reference code W 39-41 / 2 / 616, folder 616, idem ID 2637970.

miasteczka, oddalila się w głąb Rosji, przez co rozplynęły się nadzieje, że pomoc nadejdzie z tamtej strony.

Zimą tego roku, gdy Niemcy dotarli na przedpola Moskwy i zaskoczyła ich zima, do której nie byli odpowiednio przygotowani, przypomnieli sobie o futrach, będących w posiadaniu Żydów. Pod groźbą kary śmierci nakazano Żydom oddanie każdego, najmniejszego nawet kawałka futra władzom niemieckim. Ojciec osobiście zaniósł futrzane płaszcze, swoje i mamy, na wyznaczone miejsce.

Po wygaśnięciu terminu gestapowcy obeszlą żydowskie domy, przeprowadzając tam drobniagowe rewizje. Przy okazji zrabowali też wartościowe przedmioty, które wpadły im w ręce. W pięciu domach znaleziono jakieś bezwartościowe futrzane ścinki, których właściciele nie oddali przez nieuwagę albo przez roztargnienie – pięciu ojców rodzin zatrzymano z miejsca i wysłano do Auschwitz. Żaden z nich nie wrócił.

OKRES PRZEŁOMOWY

Do końca 1941 roku stosunki między Judenratem i Gestapo w Sanoku układały się nienajgorzej, jeśli oceniać w kategoriach tamtych czasów. Żydzi byli wprawdzie traktowani bezlitośnie, poniżani, obrabowywani i zmuszani do ciężkich i pogardzanych robót, ale ofiar w ludziach właściwie nie było. Judenrat podtrzymywał ten stan rzeczy przy pomocy łapówek i wartościowych prezentów, starając się spełniać wszystkie zachcianki gestapowców i dbając o to, aby ich domy były zawsze znakomicie zaopatrzone pod każdym względem. Funkcjonariusze władz niemieckich zajęli dla siebie najlepsze domy, w większości należące do Żydów. Moja rodzina była usuwana trzykrotnie z mieszkań, do których kolejno się przenosiliśmy, a przestrzeń życiowa za każdym razem nam się kurczyła; w końcu zamknięci zostaliśmy w getcie.

Na początku 1942 roku w miasteczku powiało grozą. W tym czasie zmieniła się komendantura Gestapo, co natychmiast dało się odczuć na ulicy żydowskiej. Nawet ci Niemcy, którzy pozostali z poprzedniej załogi, zmienili się nie do poznania. Delikatna tkanka stosunków między kongregacją i komendanturą Gestapo, okupiona w poprzednim okresie wielkimi wysiłkami i wydatkami, całkowicie legła w gruzach. Czołowi przedstawiciele Judenratu nie mieli już, jak dawniej, względnie swobodnego dostępu do gestapowców, od których zależał los Żydów.

Także wcześniej Żydzi, których wzywano na Gestapo, musieli zachowywać się ulegle i wystawieni byli na poniżenia i obelgi, ale to wszystko było niczym w porównaniu z tym, co nastąpiło teraz. Żydowski samorząd pozbawiony został zupełnie kompetencji. Judenrat, który dotychczas z powodzeniem kierował sektorem żydowskim, musiał ustąpić miejsca kryminalistom, denuncjatorom i wszelkiego rodzaju wazeliniarzom wysługującym się Gestapo.

Zmiana podejścia do Żydów zarządzona została na najwyższym szczeblu partii nazistowskiej. 22 stycznia 1942 roku na konferencji w Wannsee w Berlinie prominenci hitlerowscy pod wodzą Obergruppenführera Heydricha uchwalili „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. Żydzi oczywiście nie zdawali sobie z tego sprawy, sądząc naiwnie, że wszystko spowodowane jest zmianą załogi w komendanturze Gestapo. Wierzyliśmy, że – angażując dodatkowe wysiłki – będzie można poradzić sobie także i z tym problemem.

W miasteczku zaczęły się egzekucje, najpierw pojedynczych osób, dochodziło do nich coraz częściej. Początkowo zabijali Żydów za prawdziwe lub domniemane przewinienia, ale wkrótce i to się zmieniło – zaczęli zabijać bez powodu. To był początek końca, zbrodnie stanowiły cel sam



w sobie, nikt nie mógł jednak jeszcze wtedy przewidzieć prawdziwych rozmiarów nadchodzącej katastrofy.

Ofiarami pierwszej egzekucji w Sanoku byli członkowie rodziny Fried, rodzice i dwoje dzieci. Na długo przed wojną rodzina Fried (jako jedyna w miasteczku) przechrzciła się, ale według niemieckiego prawodawstwa rasistowskiego, nadal pozostawała żydowska. Ojciec rodziny był przed wojną przewodniczącym Sądu Rejonowego; o jego synu opowiadano, że jeszcze w liceum odznaczał się wrogim stosunkiem do żydowskich kolegów. Pewnego dnia wtrąceni zostali do więzienia pod zarzutem, że nie noszą na ramionach opasek z gwiazdą Dawida. Kilka dni później zastrzelono ich na cmentarzu żydowskim. Cmentarz stał się miejscem kaźni dla Żydów z Sanoka i okolic²⁴.

Wydarzenie to powinno było zostać odebrane na ulicy żydowskiej jako ostrzeżenie. Nie przywiązywano jednak do niego wagi, zupełnie jakby dotyczyło kogoś z zewnątrz. Dawał się w tym odczuć chyba nawet jakiś odcień satysfakcji – nieszczęście spadło na „wyrzutków” społeczności.

Następnymi ofiarami były Cipora i Miriam Celler, matka i córka z malej wioski Komańcza niedaleko granicy ze Słowacją. Ojciec rodziny przebywał po słowackiej stronie i żona odwiedzała go tam parokrotnie. Któregoś dnia wezwano ją na rutynowe przesłuchanie na miejscową komendę policji, gdzie została oskarżona o nielegalne przekroczenie granicy. Godzinę później na przesłuchanie wezwano także córkę, a krótko potem matkę i córkę, pod strażą polskiego policjanta, odstawiono pociągiem do naszego miasteczka na okręgową komendanturę Gestapo. Jeszcze tego samego dnia obie zostały rozstrzelane na cmentarzu.

Członkowie komitetu kongregacji dowiedzieli się o tym, gdy już było po wszystkim; do biura przyszedł gestapowiec, każąc im wysłać robotników, żeby pogrzebali zwłoki. Tym razem wieść o morderstwie wywołała szok w miasteczku i Żydzi zaczęli uświadamiać sobie groźbę sytuacji. Nie dawało się już dłużej ignorować faktów; kierownictwo kongregacji zaczęło zdawać sobie sprawę, że reguły gry się zmieniły; minęły czasy, gdy Judenrat mógł wydostawać z aresztu Żydów przy pomocy łapówek lub perswazji.

W krótkim czasie egzekucje stały się codziennym procederem, a życie Żydów straciło wszelką wartość. Jeśli nawet Judenrat wiedział zawczasu o aresztowaniu i spodziewanej egzekucji, żadne starania nie pomagały. Aresztowanie przez Gestapo było równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Lato 1942 roku było niezwykle upalne, a pod jego koniec przyszedł nakaz wysiedlenia, ucinający nadzieje, że niebezpieczeństwo może przeminąć. Ludzie ostatecznie przestali się ludzić; wiedzieli doskonale, że wysiedlenia nie odbywają się do „zwykłych” obozów pracy, jak usiłowali sugerować Niemcy.

W tym czasie wiadomo już było o systematycznym wymordowaniu Żydów z miejscowości – niedaleko od Sanoka – leżących po drugiej stronie Sanu na terenach zajętych dawniej przez Rosjan. Sprawcami tych zbrodni były jednostki złożone z Ukraińców, Litwinów i Łotyszy.

Wszelkądnie zapanowała desperacja i poczucie bezradności. Ludzie płakali, modlili się i popadali w panikę. Ci zamożniejsi, zwłaszcza młodzi poszukiwali dróg ucieczki, Niektórzy uciekli do lasów, inni szukali schronienia u nieżydowskich sąsiadów lub przyjaciół, jeszcze inni zalatwili sobie aryjskie papiery. Tylko nielicznym z tych uciekinierów udało się przeżyć wojnę. Większość członków kongregacji nie miała już żadnych pieniędzy ani możliwości – z lękiem patrzono w przyszłość.

²⁴ Chodzi o tzw. nowy cmentarz żydowski u zbiegu ul. Kiczury i Głogowej. W mieście znajdował się jeszcze stary cmentarz przy ul. Jagiellońskiej, potocznie nazywany „okopiskiem”.

Niebezpieczeństwo czyhało zewsząd. W lasach byli partyzanci, którzy w większości nienawidzili Żydów. Obrabowywali uciekinierów i wielu zamordowali. Polakom przechowującym Żydów groziła kara śmierci i wielu Żydów zginęło wraz ze swymi dobroczyńcami. Zdarzało się, że sąsiedzi odkrywali, iż ktoś obok ukrywa Żydów i donosili o tym władzom. Byli też tacy, którzy „po przyjacielsku” najpierw wyciągali od Żydów wszystko co się dało, a potem oddawali ich w łapy Gestapo. Także ludziom, którzy zaopatrzyli się w aryjskie papiery – rzadko kiedy udawało się przeżyć.

WIELKIE WYSIEDLENIE I UTWORZENIE GETTA

Zaczynała się jesień, zbliżały się święta, ale na ulicy żydowskiej nie odczuwało się żadnych przygotowań świątecznych. Pamiętałem, jak przed wojną wyglądały przygotowania do Jamim Nora'im, a świąteczna atmosfera wypełniała przejrzyste powietrze września i października. Także i ci, którzy już dawno oddalili się od wiary żydowskiej, uczestniczyli w wielkim dziele oczyszczenia. W tym roku było inaczej. Ciężki smutek i rozpacz zawisły nad miasteczkiem.

Wielkie wysiedlenie ogłoszono na sobotę, 5 września 1942 roku, tydzień przed żydowskim nowym rokiem Rosz Haszana. Nieliczni, którzy mieli zostać w Sanoku, przebywali już od Jom Kipur w świeżo utworzonym getcie. Były to w pełnym znaczeniu Jamim Noraim (straszne dni). Wyrok na sanockich Żydów został wydany, większość skazana została na śmierć, nieliczna garstka – otrzymała chwilowe odroczenie. Spośród pięciu tysięcy żydowskich mieszkańców Sanoka przed wysiedleniem, w getcie pozostało jedynie dwieście osób.

Niemcy, jak to oni, przygotowali się do wysiedlenia skrupulatnie. Zamówili 600 okolicznych chłopów z furmankami, którymi Żydzi mieli być odwiezieni na punkt zborny w Zaslawiu. Każdemu Żydowi zezwolili na zabranie tylko osobistych rzeczy, a resztę dobytku kazali zostawić w domu. Opuszczonych domów nie wolno było zamykać, a innych mieszkańców ostrzeżono za pomocą ogłoszeń rozlepionych na ulicach, żeby nie tykali pozostawionego mienia i nie udzielali Żydom żadnej pomocy. Za naruszenie tych rozporządzeń groziła kara śmierci. Ogłoszenia wydrukowano po niemiecku, po polsku i ukraińsku.

Wysiedlenie (Aussiedlung) odbywało się jednocześnie w całym okręgu. Blisko 15 tysięcy Żydów skoncentrowano w Zaslawiu w tym samym obozie pracy²⁵, który Judenrat przygotował dawniej jako miejsce azylowe dla Żydów sanockich. Na miejscu odbyła się selekcja: ludzi starszych i niepełnosprawnych zastrzelili natychmiast, część młodych skierowali do różnych robót, a większość załadowali na pociągi i wysłali do obozu zagłady w Bełżcu.

Najbardziej zadziwiające było to, że świat nie zamarł ani na chwilę i życie dookoła toczyło się normalnie jakby nigdy nic! Niemcy z charakterystyczną dla siebie butą dalej sprawowali władzę, a Polacy zachowywali obojętność, jakby wszystkie te wydarzenia w ogóle ich nie dotyczyły. Może nawet byli zadowoleni, że Niemcy wykonali za nich „brudną robotę”.

²⁵ Por.: A. Komski, *Zwangsarbeitlager Zaslav. Obóz pracy przymusowej w Zaslawiu*. Artykuł opracowany w ramach projektu „Kadisz jatom między Sanem a Oslawą” zrealizowanego przez Stowarzyszenie Dziedzictwo Mniejszości Karpackich, prowadzone przez dr Ewę Bryłę. Miejsce po obozie jest upamiętnione pomnikiem ustawionym w pobliżu cmentarza komunalnego w Zaslawiu. Z dworca kolejowego w Zagórzcu prowadzi ścieżka dydaktyczna wytyczona dzięki staraniom Stowarzyszenia.

Znaleźliśmy się wśród rodzin, którym zezwolono pozostać w getcie, dzięki temu, że ojciec nadal pełnił funkcje w Judenracie. Większość ludzi, którzy pozostali nie miało rodzin, a wybrani zostali dlatego, że Niemcy potrzebowali ich do pracy. Babcia, matka ojca, nie miała takiego zezwolenia i ojciec ukrył ją u jednego z chłopów w jej rodzinnej wiosce. Od momentu, kiedy nas opuściła – nie dostaliśmy od niej żadnej wiadomości.

Tych, którym zezwolono pozostać, skoncentrowano w dniu wysiedlenia w dwóch dużych salach w dawnych polskich koszarach²⁶. Pozostaliśmy tam do chwili, gdy ukończona została budowa ogrodzenia wokół getta, składającego się z kilku ruder na zboczu góry²⁷. Spaliśmy na podłodze w rzędach pod ścianami. Mężczyzn zabierano do budowy ogrodzenia z drutem kolczastym wokół getta i do transportu pożydowskiego mienia (głównie mebli) z opuszczonych domów do magazynów Gestapo. Mamę i kilka innych kobiet skierowano do prac porządkowych, a mnie (miałem 16,5 roku) i mojego 13-letniego brata Mońka do dzwigania mebli.

Co rano po apelu trójkami maszerowaliśmy na miejsce pracy, a wieczorem wracaliśmy do koszar. Któregoś razu, gdy wracając z pracy zatrzymani zostaliśmy na rutynową kontrolę, ukraiński wartownik nie pozwolił nam wejść do koszar. Sam wszedł na chwilę do środka, żeby coś sprawdzić, po czym wrócił i kazał nam czekać. W międzyczasie także następna grupa wracających z pracy przyłączyła się do nas, nie mogąc wejść do budynku.

Wyczerpani całodzienną, ciężką pracą staliśmy tak ponad godzinę, nie wiedząc, o co chodzi. Nagle zza rogu pojawił się samochód Gestapo i zatrzymał się na czele kolumny koło bramy. Ogarnęło nas przerażenie. Samochód Gestapo zawsze zwiastował coś niedobrego. Każdy z nas zadawał sobie pytanie, na kogo teraz kolej?

Z samochodu wysiadł Kratzman, odpowiedzialny za sektor żydowski, wysoki i silnie zbudowany mężczyzna, który wydawał się jeszcze wyższy, gdyż na głowie miał czapkę z trupią czaszką SS. Kratzman obrzucił wzrokiem naszą wynędzniałą grupę i spytał głośno:

– Wo sind die beiden Sohne von Werner?²⁸

Nie było wątpliwości, o których synów Wenera chodzi. Wystąpiliśmy z szeregu i z czapkami w rękach stanęliśmy na baczność. Kratzman dał znak wartownikowi, żeby wpuścił pozostałych, a nam kazał podejść bliżej. Po sprawdzeniu, czy jesteśmy „synami Wenera” kazał nam wsiąść na tylne siedzenie samochodu. Ku naszemu zaskoczeniu zastaliśmy tam mamę, którą zatrzymali w czasie, gdy czekaliśmy przed bramą. Usiedliśmy po obu stronach bladej i drżącej na całym ciele matki, która bez słowa chwyciła nas za ręce.

Samochód wyjechał z terenu koszar i zaczął wspinać się pod górę ulicą Mickiewicza. Po drodze minęliśmy park miejski „Aptekarka”, w którym spędziliśmy najpiękniejsze chwile dzieciństwa. Przed wojną w soboty pełno tam było zawsze młodzieży z organizacji syjonistycznych i dlatego Polacy nazywali ten park „ogrodem żydowskim”. Kiedy Niemcy zajęli miasteczko zakazali Żydom

²⁶ Chodzi o tzw. koszary jagiellońskie, przy ul. Mickiewicza, w których przed wojną kwaterował 2 Pułk Strzelców Podhalańskich.

²⁷ Zarządzeniem policyjnym w sprawie żydowskich dzielnic mieszkaniowych w Powiecie Sanockim na terenie Sano-ka utworzono getto pomiędzy ul. ul. Kręta i Zagrody, za: *Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945*, oprac. W. Bartoszewski, Z. Lewinówna, Kraków 1969, s. 900. Według A. Wenera, co potwierdza zachowana fotografia, również dawna dzielnica żydowska pomiędzy ul. ul. Łazienną, Joselewicza, Żydowską, Sobieskiego, Zamkową i Cerkiewną była ogrodzona drutem kolczastym. Przywołane zarządzenie wymienia również jako getta: obóz pracy w Zaslawiu i stanowiące jego filię baraki dla więźniów przy kamieniołomie w Trepczy.

²⁸ Którzy z was to synowie Wenera?

wstępu do parku. Obok stał opustoszały budynek przedwojennego „Sokola”, polskiej organizacji młodzieżowej, prowadzącej przysposobienie wojskowe, której członkowie nie przepuścili nigdy okazji, żeby naprzykrzać się Żydom. Nieustannie dochodziło tam do bójek i przepychanek.

Dojechaliśmy do rogu ulicy Kościuszki. Droga w prawo prowadziła do komendatury Gestapo i miejsca kaźni na cmentarzu; w lewo – do centrum miasteczka. Kratzman siedział z przodu koło kierowcy. Rozmawiali o przeżyciach w czasie urlopu w Niemczech, z którego obaj właśnie wrócili i w ogóle nie zwracali na nas uwagi. My zaś, skamieniali, na tylnym siedzeniu próbaliśmy zrozumieć z ich rozmowy, jaki nas czeka los. Kiedy dojechaliśmy do skrzyżowania szofer skręcił kierownicą w prawo, jakby chciał jechać w stronę komendatury Gestapo²⁹ i cmentarza. Na ten widok mama pobladła jeszcze bardziej.

– Mefirt unc szojn, kinderlech³⁰ – powiedziała zduszonym głosem. O dziwo, wypowiedziała te słowa w jidysz, choć zawsze rozmawiała z nami po polsku.

W tym porażającym i straszliwym momencie Kratzman rzucił kierowcy: – Sie irren sich, wir fahren nach links³¹. – Ach, so – powiedział szofer i skręcił w lewą stronę.

Nadal nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy, ale napięcie spadło. Samochód jechał w stronę centrum i zatrzymał się przed budynkiem sądu, którego jedno skrzydło służyło dawniej jako areszt dla osób oczekujących na proces. Kratzman kazał nam wysiąść i przekazał nas w ręce polskiego strażnika. Wprowadzeni zostaliśmy do pustej celi, gdzie stało tylko dużo łóżek ze słomianymi siennikami i starymi, wyblakłymi kocami. Było tam okratowane okno, a pod sufitem dzień i noc paliła się goła żarówka. W rogu stało wiadro do załatwiania potrzeb fizjologicznych.

My z bratem szybko oswoiliśmy się z tym miejscem, a nawet budziło ono naszą ciekawość. Dawniej, przechodząc obok sądu, wyobrażaliśmy sobie brutalnych przestępców przetrzymywanych za tymi okratowanymi oknami, a teraz my sami znaleźliśmy się w tym miejscu. Po ciężkim dniu pracy i traumatycznych przeżyciach z łatwością pogrążyliśmy się we śnie. Inaczej było z matką. Pierwszej nocy zbudził mnie nagle dziwny szmer. Mama stała przy drzwiach, mówiąc coś szeptem jakby do siebie. Ogarnęło mnie przerażenie. Pomyślałem, że z tych wszystkich trosk dostała pomieszania zmysłów.

Po chwili zrozumiałem, że rozmawia po polsku z kimś stojącym za drzwiami. Był to jeden ze strażników, który chciał wyludzić od niej wartościowe rzeczy, zanim wpadną w ręce Niemców. Mama błagała go, żeby przekazał wiadomość ojcu, który – jak sądziliśmy – może nie wiedzieć, co się z nami stało. Kiedy strażnik zrozumiał, że mama nie ma mu nic do zaoferowania, stracił zainteresowanie i oddalił się.

Trzymali nas w więzieniu przez pięć dni. Przez cały ten czas, nie wiedzieliśmy, co nas czeka i co się dzieje na zewnątrz. Pewnego dnia usłyszeliśmy, jak Żydzi śpiewają smętnie na dziedzińcu poruszającą do głębi modlitwę na Rosz Haszana. Nawet nie wiedzieliśmy, że święto przypada tego dnia. Przyłączyliśmy się z bratem po cichu do tego śpiewu, a mama zaczęła płakać i powiedziała: – Czemu oni prowokują Niemców? – Grupa ta, ignorując nakaz wysiedleńczy, znalazła sobie kryjówkę. Nie na długo, bo ktoś chyba wydał ich Niemcom.

²⁹ Siedziba Gestapo (Geheime Staatspolizei – Tajnej Policji Państwowej) mieściła się przy dzisiejszej ul. Sienkiewicza pod nr 5, w dawnej siedzibie Inspektoratu Straży Granicznej, Urzędu Skarbowego i Powiatowej Komendy Policji. Po wojnie w budynku tym mieścił się Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, Komendy MO i Policji. Zob.: A. Romaniak, *Sanok. T.I. Fotografie archiwalne*, Sanok 2009, s. 352.

³⁰ Już nas wiozą, dzieci

³¹ Myli się pan, jedziemy w lewo.

Wszystkich członków grupy zatrzymano i uwięziono na wewnętrznym dziedzińcu aresztu. Spodziewaliśmy się, że niedługo umieszczą ich w naszej celi, ale Niemcy postanowili inaczej. Po wyjściu z więzienia dowiedzieliśmy się, że jeszcze tego samego dnia zastrzelili wszystkich na żydowskim cmentarzu. Wśród zamordowanych były dwie siostry naszej matki i ich mężowie.

Było to pięć najdłuższych dni w moim niedługim jeszcze wtedy życiu. O tym, co przeżywał wówczas ojciec, dowiedzieliśmy się dopiero po zwolnieniu. Czekal na nas załamany i potwornie wyczerpany pod więzieniem, skąd zabrał nas do małego mieszkania w getcie. Opowiedział, że zaraz po naszym aresztowaniu dowódcy Gestapo zażądali od niego wielkiego okupu. Nie wiem, skąd wziął pieniądze, o ile mi wiadomo, nie zarabiał nic w Komitecie Kongregacji, ale zdołał nas wykupić.

Usiłując odtworzyć sobie te wydarzenia, przypomniałem sobie, że tego lata kazano właścicielom domów sprzedawać je *volksdeutschom*. Ceny były wprawdzie symboliczne, ale pieniądze przeszły z rąk do rąk, a Judenrat uczestniczył w tych transakcjach. Być może, część pieniędzy pochodzących także ze sprzedaży naszego mienia, pozostała w kasach Judenratu i one właśnie posłużyły ojcu, żeby nas wykupić.

Niemcy nie dotrzyмали słowa i nie spieszyli się z naszym zwolnieniem, choć dostali pieniądze. Mijały dni, ojciec biegał, od jednego gestapowca, do drugiego, błagając o nasze zwolnienie. Ci znęcali się nad nim, aż w końcu stracił wszelką nadzieję. Kosztem wielu wysiłków i nieprzespanych nocy zdarzył się cud – wyszliśmy z więzienia.

PRZED KOŃCEM

Dosyć słabo zapamiętałem okres, który spędziłem w sanockim getcie. Pamiętam jednopokojowe mieszkanie, w którym gnieździła się nasza czwórka. Była tam kuchnia i trochę mebli z naszego poprzedniego mieszkania. Było potwornie ciasno, ale jakoś dawaliśmy sobie radę. Inni mieszkali w dużo gorszych warunkach.

Życie w getcie upływało względnie spokojne, szczególnie w porównaniu z tym, co słyszeliśmy o Zaslawiu. W moich oczach getto przypominało spokojną wyspę na wzburzonym, okrutnym morzu. Był tam pagórek z paroma wysokimi drzewami i mały strumyk, gdzie po całodziennej ciężkiej pracy zbierali się mieszkańcy getta. Wszystko to razem tworzyło atmosferę złudnego spokoju. W getcie nie brakowało przejawów żydowskiego humoru. Jedno z powiedzeń zapamiętałem: „Nie ulega wątpliwości, że wygramy wojnę, ale dowiemy się o tym w grobie”...

Poczucie spokoju było iluzoryczne. Los mieszkańców getta nie miał być lepszy od losu innych Żydów, tylko wyrok odroczone o kilka miesięcy.

Słuchy dochodzące z Zaslawia były zatrważające. Opowiadano sobie, że trwa tam nieustanna masakra, w akcjach organizowanych raz na tydzień naziści zabijają za każdym razem co najmniej pięćset osób. Na dwa dni przed akcją Żydzi sami musieli kopać sobie groby w pobliskim lesie, więc wiadomo było z góry, co nastąpi, a ratunku nie było znikąd. W dniu akcji z miasteczka przybywali wszyscy gestapowcy i pod dowództwem swojego komendanta Obersturmführera Stawickiego przeprowadzali selekcję, po czym zabijali bezlitośnie nieszczęsne ofiary. Jedynie stosy ubrań po zamordowanych były świadectwem tego, co się stało.

Dowódcą obozu w Zaslawiu był gestapowiec nazwiskiem Vogt, rzeźnik z zawodu i charakteru, który dał się poznać w miasteczku jako patologiczny morderca. Jeszcze przed wielkim wysiedleniem wszedł kiedyś do domu, gdzie mieszkała rodzina żydowska. Zamordował wszystkich, po